№ 15. Warszawa, dnia 2 (14) Kwietnia 1898 r. Rok XXXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie:**
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

# GRZECHY PEDAGOGICZNE.

STUDYA Z NATURY

przez

**Janinę S. Aleksotę.**

Katechizm wychowawczy z wymienieniem grzechów i ich rodzajów, z wyliczeniem odpowiednich tym wykroczeniom cnót — istnieje oddawna i w teoryi i w praktyce. Co prawda luźne są jego kartki i przez różnych mędrców, dopełniane a skupiane w jedną całość, ale to też i rozmiary tego wychowawczego prawa niemałe. Są w tym katechiźmie i cnoty główne i pomniejsze, zaletami zwane, są rady ewangeliczne i rozkazy kategoryczne, są także grzechy powszednie i śmiertelne. Te ostatnie są środkiem do zabijania ducha, do przytłumiania tego, co w nas „z nieba swój początek bierze“—a rozwoju tego, co nas powszednio, aż nazbyt powszednio do ziemi wiąże. Pomiędzy temi śmiertelnemi zboczeniami pedagogicznemi znajduje się siedm grzechów głównych, których nazwy możnaby np. przedstawić w sposób następujący: 1) Rozbieżność słów i czynów, czyli niekonsekwencya do zenitu posuwana. 2) Niepohamowane gadulstwo. 3) Niedbalstwo i opieszałość. 4) Bezwzględna surowość lub łagodność i pobłażliwość szkodliwa, jako dwa w działaniu pedagogicznem bieguny. 5) Przesyt i głód wychowawczy. 6) Wykroczenia przeciw ekonomii wychowawczej. 7) Kucie wychowanków na kowadle suchych teoryj pedagogicznych.

Zadaniem rozpoczętych tutaj pogadanek, będzie obszerniejsze pomówienie o każdym z tych wymienionych grzechów i dokładne wyjaśnienie każdego w życiu. Zaczynamy od punktu pierwszego.

## I. Rozbieżność słów i czynów.

— „Żyć prawdziwie, to znaczy działać energicznie“, powiada S. Smiles w znakomitem swem dziele p. t.: „Charakter“. Nie powiedział natomiast nigdzie ani on, ani zapewne nikt, ażeby, żyć prawdziwie, znaczyło: energicznie—mówić. Czyn musi iść w parze ze słowem, z wyznawaną zasadą i pewnikiem. Słusznie i z prawdziwie głęboką filozofią zauważyła Narcyza Żmichowska, że w piśmie św. mówi się w kilku miejscach o wyznawcach a nie wielu ludzi zastanawia się nad doniosłem znaczeniem tej nazwy. „Wyznawcą“ ani było, ani nie jest tak łatwo być. Wyznawca to ten, który wyznaje daną prawdę i tak jest nią przejęty, że ją w codziennem wykonywa życiu i gotów każdej chwili za śmiałe jej wyznawanie życie położyć. Im rzetelniejsza jest nasza energia, tem zasada trwalsza, gruntowniejsza i zbliża nas tembardziej do ideału wyznawców. Co się usty wyznaje, to i czynem być winno. W tem moc leży i siła; w tem ta ogromna cześć, o jakiej wspomina Żmichowska, że ją miała dla wszystkich wyznawców. Wyznawcy nawet wyżej stali od męczenników. Z męczenników bowiem nie wszyscy byli wyznawcami; zdarzało się wielokrotnie, że nie wyznawcy, nawet nie wierzący, porwani zapałem wyznawców i ich granitową stałością, olśnieni głoszonemi prawdami, nagle nabierali wiary i rzucali się z upragnieniem w tortury i śmiertelne kaźnie. Wyznawcy zaś szli twardym torem, nieugięci żadnym wpływem, nie zwabieni żadnym obcym blaskiem, wciąż z oczyma zwróconemi na słońce swej jedynej i ukochanej prawdy, dla której żyli i pracowali.

W pracy pedagogicznej wygłaszanie wobec wychowanka pięknych teoryi a zdradzanie się w praktyce z postępowaniem, wręcz głoszonym zasadom przeciwnem, należy do ogromnych błędów pedagogicznych a nawet do grzechów śmiertelnych. Jest to bowiem środek wypaczający charakter wychowanka, wszelkie jego dobre pojęcie o świecie i ludziach, jest to odzieranie go z tej szlachetnej wiary, jakiej pełna jest zazwyczaj dusza młoda i czysta. Wiara ta stanowi młodość człowieka, tej młodości urok i siłę, jej potęgę i szczęście. Wiara ta sprawia, że się do niej z całem przeświadczeniem woła: „Młodości, orla twych lotów potęga,

„Jako piorun twoje ramię!“

I gdyby nie ta brylantowa, niczem niezachwiana wiara, nie możnaby nawoływać tej wzniosłej młodości:

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
„Łam, czego rozum nie złamie“.

Ztąd nietrudno zrozumieć, jaka moc leży w rzetelnym przykładzie wychowawcy i wzorów przez niego stawianych. Jakże np. marnie postąpiłby taki wychowawca, któryby przedstawił jako wzór do naśladowania postać poety, czy mędrca, głoszącego z przejęciem się wielkiem zasady wstrzemięźliwości i skromności a żyjącego jak Lukullus i Nero. A cóż dopiero, kiedy wychowanek dostrzeże swego wychowawcę na gorącym uczynku rozbieżności jego postępowania, od świeżo wygłoszonej zasady, którą tak niedawno, przypuśćmy, przejął się wychowanek, usłyszawszy ją z ust wytrawnego swego pedagoga. Odrazu runie w gruzy gmach całej powagi szanownego mentora, a wychowanek staje wobec niego z nadłamanem skrzydłem swej przeczystej wiary, która go tak wysoko po nad pył tej ziemi unosiła. To pierwsze i naj-

szkodliwsze rozczarowanie. To pierwsze, bardzo bolesne smutki, zwłaszcza jeśli się ma z dzieckiem rozumnem i inteligentnem do czynienia. To zawód wielki uczyniony wychowankowi, który patrzy na przewodnika swego, jako na wzór dobra, prawdy — i piękna, a nagle wspaniała szata tej doskonałości przedstawiła się młodym oczom nie tak niepokalanie czysta, jaką się wydawała i nieco poszarpana. Taki proces psychologiczny w młodej duszy, doskonale przedstawia Orzeszkowa w „Pamiętniku Wacławy". Jej wiara w życie i świat, która kwitła jej najwspanialszem, najbarwniejszem kwieciem w sercu, zaczyna powoli w zetknięciu się z rzeczywistością więdnąć i schnąć. I Wacława mówi sama o sobie: „Zdawało mi się, że z kwiatu mej wiary w duszy, opadł znowu jeden listek i usechł i w popiół się obrócił, a z tego popiołu sypała się mogiła, coraz wyższa i wyższa, w miarę, jak schły i opadały listki tego kwiecia".

O poradzie żadnej wychowawca niechaj nie śni, gdyż się wychowanek raz i drugi na nim rozczaruje w powyżej przedstawiony sposób. O wpływie wielkim także już chyba myśleć nie może, o szacunku również nie. A czy możliwą jest skuteczna działalność pedagogiczna bez takich ważnych czynników, jak powaga wychowawcy i wpływ jego na młodzież? Przykłady pociągają — powiada przysłowie. I nietylko pociągają, ale działają najskuteczniej i najsilniej, a zwłaszcza przykłady żywe, które ma wychowanek przed swemi oczyma. Toż to z niczem nieporównana potęga. A w końcu jeszcze jedna rzecz. Wychowawca musi rządzić sercem wychowanka, inaczej nie zaprowadzi go tam, dokąd chce i dokąd zamierza. Czy rząd sercem możliwy, gdy się to młode serce rozczaruje na wychowawcy własnym? Serce to lgnąć musi do osoby niem kierującej; musi mieć swoje olśnienia i wierzenia co do samejże osoby niem kierującej, gdyż inaczej odwróci się z niesmakiem lub apatyą, a wtedy na owoce pracy swej wychowawczej liczyć pedagog nie może. Do cnót tedy kardynalnych należeć musi: straż nad zgodą słowa z c z y n e m.

Z CYKLU SONETÓW

## „Na jednej strunie."

Zdaje mi się, że widzę anioła w błękicie,
W złotej włosów powodzi o niebiańskiej [twarzy,
Na jawie śni o szczęściu, we śnie o niem [gwarzy,
O, gdybym jak ten anioł mógł przemarzyć życie!

W błękitnych jego oczach lśni niebios odbicie
I żadna namiętności iskra się nie żarzy...
Zasłuchany w swej pieśni cudne dźwięki [marzy
O mgły srebrnej welonach i o złotym świcie.

Niby geniusz harmonii przeczysty, natchniony,
Z lutni dobywa złotej smętne, łzawe tony,
Goniąc myślą po niebios błękitnem przezroczu.

I duch mój wtedy w słodkiem upojeniu tonie
I do rzewnej modlitwy składają się dłonie,
I przeczysta tęsknota wyciska łzy z oczu.

* *
*

Jako noc jesteś majowa,
Tak piękna i tak zawodna,
Błękitem niebios pogodna,
Za którym burza się chowa...

Twych oczu dziwna wymowa,
Z słowami ustek niezgodna,
Odkrywa duszę twą do dna...
Jak w księdze czytam w nich słowa.

I poznać Ciebie nie trudno,
Gdyż być nie umiesz obłudną
I zawsze prawdą tchniesz cała,

A duch twój, poczęty w niebie,
Na ziemskiej usycha glebie,
Nim nie wyzwoli się... z ciała.

* *
*

Spojrzałaś... zda się błękit twych źrenic przezroczy,
Roztapia się w łzy rzewne i jak rosa spływa...
Niby sarenka w kniei stanęłaś trwożliwa,
Zasłuchana w traw szelest i w szmer wód [uroczy...

Tak nieraz mgła nad ranem welon swój roztoczy,
Szafirowy ton srebrem zasnuje przędziwa...
Gdy w nią patrzysz — zaduma owionie Cię [tkliwa,
Łzą się w oku zaperli i smutkiem przytłoczy.

Spojrzałaś — i w mej duszy już struna trącona
Rozgłośnem dzwoni echem — i echo nie kona...
Myśl znękana w rozkoszne wpada zamyślenie...

Spojrzałaś — z jakąż dziwną słodyczą i siłą
Spojrzenie Twoje w duszy tajnikach utkwiło,
Pogodne... a zarazem smutne nieskończenie.

* *
*

Jam Cię ukochał — a Tyś dzieckiem jeszcze...
Nademną płaczesz odrodzenia tęczą,
O Tobie marzeń snuję nić pajęczą,
Twych lic widokiem poję się i pieszczę...

I łzy i wszystkie przeczucia złowieszcze
I krwawe bóle, co mi ducha dręczą
Dla Ciebie tylko w moich pieśniach dźwię- [czą—
W nich skargi moje i pragnienia mieszczę.

Zazdroszczę niebios modremu przezroczu,
Które wykradło błękity twych oczu...
Zazdroszczę róży drżącej w Twym warkoczu.

I w upojeniu modlę sia i korzę,
I wierzę w Boga, wielbiąc dzieło Boże,
Którem sam Stwórca zachwycić się może.

*Władysław Nawrocki.*

# Berta Galleron.

Z pomiędzy zbiorów poetycznych, jakie się u zmierzchu wieku pojawiły, zasługują na szczególną uwagę liryczne pieśni pani Berty Galleron z domu Colonna, córki cenionego powszechnie publicysty. Wydane poraz pierwszy parę lat temu pieśni te otrzymały nagrodę akademicką.

Świeżo ogłoszony zbiór dopełniły nowe, rzewniejsze jeszcze zwrotki.

Na wstępie, królowa rumuńska, znana pod pseudonimem Carmen Sylva, przebiega życie młodej poetki, i z serdecznem wyraża się o niej współczuciem. Zasługuje na to Berta Galleron i niezaprzeczonym talentem, i wielką siłą ducha, z jaką znosi najdotkliwsze próby. Niewidoma od pierwszej młodości, obecnie i słuch utraciła.

Muzyka, wielka pociecha w jej ślepocie, nie istnieje już dla niej, przecież nie składa pióra. „Nie dosyć — mówi Carmen Sylva, że pieśń jej budzi współczucie, ale co więcej, sprawia radość tym, którzy wierzą w potęgę duszy i w tryumf jej nad materyą."

Oprócz ulotnych pieśni, poetka utworzyła dramat, dotąd drukiem nieogłoszony, pełen życia i męzkiej siły. Wystawa sceniczna, wybornie to oznaczona, sytuacye prawdziwie dramatyczne.

Oswojona ze ślepotą swoją od lat młodych, poetka niezbyt utyskuje na nią. „Mam ja tyle wyobraźni i tak wyborną pamięć, mówi o sobie, że widzę niekiedy wśród ciemności. Stokroć bolesniej dotknęła mnie głuchota!" Opisuje ją w rzewnych zwrotkach.

Gdybyż jedynie na me zgasłe oczy
Upadł ślepotą wiekuistą cień,
Ucho by niosło do mnie dźwięk uroczy;
Choćby mi wieczny mrok upadł na oczy,
Ależ jam głucha jak pień.

Ach! ta głuchota, dotkliwsza mi jeszcze;
Gdy mnie pogrąży w tajemniczym śnie,
W myśli widziadła przesuwa złowieszcze.
Ach! ta głuchota dotkliwsza mi jeszcze,
Od żywych dzieli mnie!

Gdybyć jedynie ów pomrok grobowy
Na światło Boże moje oczy ćmił,
Mogłabym z życia snuć wątek wciąż nowy,
Głos ukochanych w tej nocy grobowej,
Dodałby sercu sił!

Mimo kalectwa swego, Berta Colonna pozyskała miłość szlachetnego człowieka, młodego architekta Galleron. Zaślubiona z nim, znalazła szczęście, o jakiem nie marzyła. Wkrótce jedna śmierć maleńkiego synka zamąciła to szczęście. Biedna matka, z rozdartem sercem opiewa chwilę, kiedy tuliła na piersi stygnącą główkę dziecka, którego nigdy nie widziały jej oczy.

W żałobie swojej znalazła jednak osłodę: dwoje ślicznych dziatek, dzieweczka i chłopczyk, rosną dziś przy niej, a troskliwa opieka męża i promień ogniska domowego, ożywia poetkę w jej podwójnem kalectwie.

Zbiorek poezyi nosi smętny tytuł: „Dans la nuit" (wśród nocy mojej). Zakończa go piosenka, poświęcona mężowi, dajemy ją w przekładzie.

Ja cię nie widzę, me słoneczko złote,
Ale mi smutno, gdy cię chmura ćmi,
Odczuwam twoją radość i tęsknotę!
Ja cię nie widzę, me słoneczko złote,
Lecz żar twój dajesz mi!

Już ja nie widzę tej rozkwitłej róży,
Nie wiem gdzie ku niej mam wyciągnąć dłoń,
Czem dla mnie krasa? czar jej przetrwa dłużej,
Już ja nie widzę tej rozkwitłej róży,
Ale mnie rzeźwi jej woń!

Ja nie zobaczę twych oczu, gdy ku mnie
Zwrócą się słodko — ach dobrze ja znam,
Ty zganiasz troski rojące się tłumnie;
Nie widzę oczu Twych, zwróconych ku mnie,
Ale Twój uścisk mam!

Pomrok dokoła, lecz jasno w mej duszy,
Mnie nie przeraża wiekuista noc,
Ach! jam spokojna: — miłość ją rozproszy,
Skoro potężnie drga nam w głębi duszy
Jej czarodziejska moc!

*Seweryna Duchińska.*

# BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

**Maryę Łopuszańską.**

(Dalszy ciąg).

* *
*

Tymczasem w mieście rozpoczęto wreszcie przygotowania do koronacyi, chociaż sprawa o Estonię nie była dotąd rozstrzygniętą; owszem z dniem każdym zwiększało się oddalenie między królem a hetmanem, zwłaszcza, iż znaleźli się tacy przy dworze, którzy jątrzyli wciąż Zygmunta przeciw hetmanowi, mówiąc, iż ten chce zmusić króla do wyjazdu do Szwecyi, a na jego miejsce Batorego osadzić na tronie. Nie można ręczyć, czy poznawszy Zygmunta myśl podobna nie przychodziła kiedy Zamojskiemu do głowy, lecz nigdy się z nią nie odkrył i na przedstawienia prymasa i innych panów, przypominających mu niebezpieczeństwo z powodu Maksymiliana, ze znacznem wojskiem stojącego w księztwie siewierskiem, hetman zgodził się, by koronacya odbyła się 28 Grudnia. — W dniu tym prymas Karnkowski w katedrze włożył na głowę Zygmunta koronę Chrobrego, a książęta: Pomorski, Pruski i Kurlandzki złożyli przysięgę.

Nazajutrz, wedle odwiecznego zwyczaju, król miał się udać na rynek, by odebrać przysięgę od mieszczan. Całe miasto od rana wyległo na rynek, który był tylko jednem morzem głów; kto żył, to spieszył obaczyć świetny obrzęd.

Kasztelanowa również znajdowała się tam z obiema siostrzenicami, dla których było to rzeczą zupełnie nową. Okna dokoła zajęte już były przez ciekawych i niepodobna było dostać ni jednego, trzeba więc było z kolaski spoglądać na obrzęd; niewiele zresztą było do widzenia, gdyż ze wszystkich stron zastąpiono. Pan Ignacy nie mógł im towarzyszyć, gdyż w dniu tym musiał znajdować się w orszaku hetmańskim, stary zaś marszałek dworu kasztelanowej nadaremnie sprawiał się z naciskającemi zewsząd tłumami — coraz nowe gromady się pchały. Lecz nie dość tego, nagle ukazało się kilkunastu jezdnych jakiegoś pana, którzy rozpędzili tłumy, robiąc miejsce dla jego orszaku; zaczęli też krzyczeć na dwór kasztelanowej, by ustąpił także, bo tutaj stanie orszak pana wojewody.

Stary marszałek, niedołęga, widząc, że pachołki biorą się ostro, poszedł do kasztelanowej z doniesieniem, że muszą ztąd ustąpić.

— A cóż to? waćpan jesteś z masła, że pozwalasz, by mu rozkazywano w ten sposób? zawołała kasztelanowa. Jakie prawo ma kto spędzać nas z tego miejsca?

— Jaśnie wielmożna pani kasztelanowo, bełkotał marszałek, oni mówią, że to dla wojewody wendeńskiego...

— Choćby i dla króla, — to cóż ztąd? ofuknęła kasztelanowa. Przecież my pierwej tu stanęliśmy i nie myślę wcale ustępować nikomu!

Pachołcy jednak coraz hardziej domagali się ustąpienia; dziewczęta przelękły się, by nie przyszło do jakiej zwady, biedny zaś marszałek był jakby między młotem a kowadłem, — obie strony napadały na niego. Chodził, parlamentował, tarł czuprynę, a tymczasem pachołki coraz głośniej poczynali krzyczeć i najeżdżać końmi. Magdzia i Ewa spoglądały, czy nie ujrzą zkąd pomocy, lecz nikt się nie zjawiał. Nagle spostrzegły jakiegoś młodego człowieka, widocznie rycerskiego stanu, przeciskającego się przez tłum w ich stronę. Marszałek zwrócił się natychmiast ku niemu z prośbą o pomoc, a nowo przybyły rozkazał ostro pachołkom, by się ztąd natychmiast oddalili i gdzieindziej poszukali sobie miejsca. Pachołcy, widząc przed sobą rycerza a może i jakiego wyższego dowódzcę wojskowego, stracili rezon i oddalili się prędko.

Grzeczny kawaler, przyjąwszy żywe podziękowanie kasztelanowej, ukłonił się wszystkim trzem paniom i odjechał.

— Radabym wiedzieć, co to za jeden, rzekła kasztelanowa, wielka to uprzejmość, że nam dopomógł w przygodzie.

— Ciociu, zawołała Magdzia, toż to ten sam oficer, który na prośbę cioci cofnął armaty! Poznałam go odrazu...

— Prawda! potwierdziła kasztelanowa. I mnie on się wydał jakby znajomym, ale nie mogłam zrazu odgadnąć, gdzie go już widziałam, miał bowiem wówczas hełm na głowie, a to bardzo zmienia... Czyż niedziwna rzecz, że się znalazł właśnie, gdyśmy były w takiej potrzebie.

— Tak, ciociu, i mnie się to dziwnem zdaje, rzekła Ewa, patrząc na Magdzię, która w tej chwili odwróciła głowę w inną stronę.

W tym czasie orszak królewski zbliżał się właśnie do tronu, ustawionego na podniesieniu w pośrodku rynku. Przodem szli panowie świeccy i szlachta, potem duchowni: Prymas, arcy-biskup lwowski i biskupi, — wszyscy w pontyfikalnych świetnych szatach, z pastorałami w dłoni. Za nimi postępowali dygnitarze koronni niosący insygnia. Firlej, wojewoda krakowski, niósł berło, inni wojewodowie jabłko i miecz.

Wreszcie ukazał się sam król na koniu, w szatach koronacyjnych i koronie na głowie, otoczony dygnitarzami, między którymi jako kanclerz i hetman, pierwsze miejsce trzymał Zamojski. W takiem otoczeniu król objechał rynek i zasiadł na tronie. Urzędnicy koronni, przedniejsi panowie i dworzanie okryli stopnie tronu świetnym orszakiem. Senat zasiadł poniżej, na przygotowanych ławach. Wówczas król powstał i stojący, mieczem na cztery strony świata przeciął powietrze. Poczem przystąpił burmistrz miasta Krakowa, bogato i strojnie odzian, otoczony dwudziestu czterema rajcami, nieustępującymi w przepychu panu burmistrzowi. Za nimi jedenastu sędziów-ławników z dwunastym wójtem na czele i wreszcie całe mieszczaństwo wiedzione przez swoich starszych, których było czterdziestu. Wszyscy uderzyli czołem przed tronem i złożyli przysięgę na wierność, poczem otrzymali potwierdzenie dawnych praw i przywilejów.

Gdy się skończył ów obrzęd, król znów wsiadł na konia i z tą samą uroczystością odjechał na zamek.

* *
*

Koronacya zamknęła usta tym, którzy chcieli przed Zygmuntem wystawić Zamojskiego jako przeciwnego objęciu przezeń rządów, ale nie uspokoiła niechęci króla. Marszałek Opaliński dokładał też starań, by niechęć ta nie wygasła, zamiarem jego bowiem było osłabić przemożny wpływ hetmana i w tym celu rozpoczął już przedwstępne układy z Janem Zborowskim, postanowiwszy w przymierzu z tą potężną rodziną wspólnemi siłami obalić Zamojskiego. Nie przestawał więc jątrzyć Zygmunta przeciw kanclerzowi, zręcznie poddając, że dokąd ten, pyszny swym wpływem i potęgą, człowiek stać będzie przy tronie, król będzie tylko lalką malowaną, a ster rządu pozostanie w ręku jego.

Podobne podszepty budziły nienawiść przeciw hetmanowi w Zygmuncie, który, jak wszyscy ludzie słabi, nie mógł znieść myśli, że ktoś nim kieruje.

Hetman też miał codziennie tysiące przykrości, a będąc z natury dumnym, przywykłszy do tego, że Zygmunt-August obchodził się z nim przyjaźnie i łaskawie, Henryk Walezyusz miał dla niego względy a Stefan Batory nic nie przedsięwziął bez niego, z trudnością teraz na starość znosił, iż młodzik niedoświadczony, który mu nadto tron zawdzięczał, okazywał mu jakieś niezadowolenie i z góry go traktował. Nie myślał też przybierać tonu uniżonego ani prosić o przebaczenie; przemawiał zawsze z godnością i powagą odpowiednią dostojeństwu i znaczeniu, jakie posiadał w kraju, a to nie podobało się Zygmuntowi, przywykłemu do całkiem innych obyczajów.

Przytem król przybywał już do kraju z gotowym programem politycznym, który był wręcz przeciwny dążnościom hetmana. Zygmunt, chociaż de facto był współzawodnikiem rodziny Habsburskiej, w duszy, sprzyjał przymierzu z państwem rakuzkiem, stawiąc sobie za główny cel natchnioną mu przez jezuitów propagandę religijną, której największe poparcie mógł dać znany ze swej pobożności dom austryacki. Nie myśląc więc, czy owa polityka będzie zgodną z dobrem kraju, nad którym objął rządy, rozpoczął natychmiast na własną rękę tajemne rokowania ze swoim przeciwnikiem, tworząc przytem rozmaite projekta związków małżeńskich, mogących go połączyć z dworem rakuzkim.

Zamojski zaś i całe jego stronnictwo, chociaż wierne kościołowi, trzymało się w rzeczach wiary pełnej tolerancyi polityki jagiellońskiej, a największe niebezpieczeństwo upatrywało w kandydaturze Maksymiliana i w połączeniu się z domem austryackim, wiedząc, że to ostatnie może ściągnąć na kraj wojnę z Turcyą. Spostrzegł też, że w około niego knują się jakieś projekta, bez jego wiedzy i woli, że go starają się usunąć od rady królewskiej, i czuł się tem urażony i zaniepokojony. Coraz też więcej oddalali się od siebie król i kanclerz, chociaż chwila była taka, że powinni byli się połączyć, zwłaszcza dla Zygmunta było to rzeczą wielkiej wagi, bo ramię tylko hetmana mogło odwrócić niebezpieczeństwo, grożące ze strony arcyksięcia, który odciągnąwszy do księztwa Siewierskiego, nie myślał wcale opuścić granic Rzeczypospolitej, gdzie miał jeszcze wielu stronników.

Nieprzyjaciele Zamojskiego, pragnący jak najprędzej usunąć go od boku króla, wyrzucali mu, że natychmiast nie wyrusza przeciwko Maksymilianowi. Tak na dworze jak wśród szlachty zżymano się na zwłokę, zwłaszcza Sieradzanie słali skargi do Krakowa na ucisk ze strony wojska arcy-księcia, ogłodzającego kraj do szczętu. Nawet żołnierze i stan miejski szemrali na hetmana. On sam wiedział lepiej od innych, że trzeba Maksymiliana wypędzić, ale wiedział także, że niema jeszcze ani wojska, ani pieniędzy na zaciągnięcie go, i dlatego czekał.

XLII.

Koronacya Zygmunta miała jednak wielkie znaczenie, oddalając od Zborowskich wielu stronników, którzy zwątpiwszy, by Maksymilian zdołał utrzymać się przy tronie, poczęli powoli opuszczać jego obóz, aby później mieć zasługę, że pierwsi przeszli na stronę prawego króla. Nawet Jan Zborowski oddalił się do Prus pod pozorem pozyskiwania tam stronników, w gruncie dlatego, że zwątpił także w sprawę, popieraną przez braci, Jazłowiecki również był zniechęcony; wiedział bardzo dobrze, że przy braku jedności, istniejącym w obozie Maksymiliana, wszelkie poważne działanie jest niepodobnem. Sam miewał częste zatargi z Górką, który raz nabrawszy do niego niechęci, na każdym kroku starał się stanąć mu w poprzek.

Obóz tworzył istną wieżę Babel. Różne języki brzmiały tam pomięszane dziwacznie, a wspólność sprawy nie zdołała zaprowadzić zgody między tylu sprzecznemi żywiołami: Czechy z Węgrami, Polacy z Niemcami, kłócili się i rąbali szablami bezustannie.

Zrazu wojsko okopało się w Krzepicy na zimowe leże, lecz gdy w stronach tych ukazała się zaraźliwa gorączka, Maksymilian ruszył dalej i zajął w nieobecności Aleksandra Koniecpolskiego, pod ten czas w Krakowie bawiącego.

Maksymilian zamieszkał w dworcu starościńskim, obaj zaś Zborowscy zajęli pobliską kamienicę, należącą do pewnego mieszczanina. Tam co wieczór schodzili się do nich ich najbliżsi stronnicy i krewni, jak Ostroróg i Stadnicki, radząc nad projektami dotyczącemi ich rodziny. od niejakiego czasu zwłaszcza wielkie się toczyły narady w tem kółku; szło bowiem nietylko o utrzymanie Maksymiliana na tronie, ale i o zabezpieczenie sobie losu na wypadek gdyby sprawa arcyksięcia upaść miała. Jakkolwiek kasztelan gnieźnieński usuwać się począł, nie opuścił braci jednak i zawarł właśnie przymierze z marszałkiem Opalińskim, który miał wyjednać im przebaczenie u dworu, w razie niepowodzenia ich planów. Z drugiej strony toczyły się tajne rokowania z Zygmuntem, gdzie mówiono o małżeństwie siostry jego, Anny, z arcyksięciem i o zrzeczeniu się przezeń tronu na korzyść Maksymiliana. Król jeszcze przed koronacyą wzmiankował nawet o tem w liście do sułtana, czem obudził podejrzenie Porty, i ściągnął wkrótce na Rzeczpospolitą burzę, którą ledwie mógł później zażegnać Zamojski.

Projekt ten był przyczyną, że ani Zborowscy ani ich stronnicy nie wątpili, że Maksymiliana zdołają utrzymać, pomimo, że Zygmunt już został ukoronowany. Zwłaszcza marszałek nadworny pełen był dobrej myśli, ufny w to, że z pomocą Opalińskiego zdołają obalić nienawistnego kanclerza i zająć jego miejsce. W zamian za tę pomoc Opaliński żądał innej przysługi, a mianowicie, żeby wraz z nim, wspólnemi siłami zgnietli Górkę, dawnego jego nieprzyjaciela i współzawodnika w Wielkopolskiej ziemi. Zborowscy gotowi byli dopomódz w tem, byle tylko zarazem pozbyć się Zamojskiego.

Już była dość późna godzina, kiedy u marszałka nadwornego jeszcze płonęło światło w oknach starannie przysłoniętych; w komnacie zaś, prócz samego gospodarza, znajdowali się Krzysztof Zborowski, Ostroróg i Stadnicki.

Wieczerza już się skończyła ale kielichy z winem niedopitem stały jeszcze na stole; opodal, w kącie, siedział lutnista, niemłody Włoch, należący do dworu podczaszego koronnego i śpiewał coś, przegrywając na lutni. Krzysztof lubił zawsze wozić z sobą dwór liczny i wspaniały, na co tracił niezmierne sumy i wiecznie był bez pieniędzy.

Po chwili podczaszy wstał z miejsca swego i przeszedłszy się po komnacie, skinął na Włocha, by odszedł, a gdy drzwi się zamknęły za lutnistą, rzekł do Ostroroga:

— Od czasu jak mię ten pies Wojtaszek zdradził, nie ufam już żadnemu z moich ludzi, a osobliwie śpiewakom i grajkom, bo to jest nikczemne plemię, gotowe zawsze sprzedać swego pana dla korzyści. Wprawdzie to Włoszysko mało bardzo rozumie mowę naszą, ale jednak lepiej się pilnować...

— Nieboszczyk Samuel nadto ufał temu bandurzyście,—zawsze mu mówiłem, że jemu źle z oczu patrzy,—ozwał się Andrzej Zborowski.

— U mnie za to krótka sprawa z takimi, — rzekł Stadnicki, siedząc rozparty w krześle. — Raz doniesiono mi, że kozak dworski, który woził moje listy, przekupiony od pana Opalińskiego, oddawał mu je do przeczytania. Kazałem go w tejże chwili chwili chwycić i na murach zamku łańcuckiego z wielką okazałością powiesić. Przed śmiercią powiedziałem mu jeszcze naukę, ku zbudowaniu duszy: „Widzisz synku, rzekłem, nie trzeba było wierzyć głupim ludziom ale mieć swój rozum; trzeba było pomyśleć o tem, że gdy się w moje ręce dostaniesz, to cię z nich i sam pan marszałek koronny nie wydobędzie.“

Krzysztof Zborowski zaśmiał się, widocznie opowiadanie go rozweseliło.

— Nauka wielce mądra i pożyteczna, wszelako nie wiem czy z niej delikwent wiele skorzystał,—rzekł tonem żartobliwym.

— „Daruj bat'ku, rzekł mi na to, źli ludzie mię skusili,“ — ciągnął dalej opowiadanie swe Stadnicki. — Więc cię już drugi raz nie skuszą, odparłem...

— Dobrze by było tak samo zrobić z tymi co nas zdradzili i przeszli do Zamojskiego, — rzekł Krzysztof.

— No, jabym najpierw zaczął od niego samego,—dorzucił Stadnicki.

— Zrobi się te, zrobi z Bożą pomocą,—odparł podczaszy, błyskając złowrogo oczami.

— Na to jednak trzeba nam koniecznie wziąść w sukurs Opalińskiego,—ozwał się Andrzej Zborowski. Bez niego nic!

— Jakto?—zawołał Stadnicki, zrywając się.— Myślicie podać rękę temu podłemu lisowi, który podemną dołki wciąż kopie? Tedy ja umywam ręce od wszystkiego!

To rzekłszy, począł mierzyć szybkiemi krokami komnatę, trzęsąc się od gniewu.

— Prędzej mię dyabli wezmą, niżbym miał bratać się z owym łotrem! — wołał, zaciskając pięści i sapiąc.

— Przestań no się rzucać i posłuchaj mię chwilę,—rzekł Krzysztof biorąc go za ramię. — Tu nie idzie o jakiś marny zatarg, ale o przyszłość całego naszego rodu, pojmujesz? Nastała właśnie chwila, kiedy możemy zgnieść Zamojskiego, bo jeśli go nie zgnieciem, to sami padniemy. Do tego zaś trzeba nam koniecznie zawrzeć przymierze z Opalińskim i poświęcić mu Górkę. Jeśli to uczynimy, obojętnem się stanie dla nas, kto na tronie zasiędzie! Zygmunt li, czy też Maksymilian, -dość, że Zamojski padnie...

— I to trzeba zrobić rychło, bo z każdym dniem ludzi nam ubywa a Zamojski tymczasem może urość w siłę,—ozwał się Ostroróg.—Jazłowiecki bardzo wydaje się zniechęcony, już mi napomykał onegdaj, że chce jechać do Kamieńca, by tam popierać jakoby naszą sprawę,—ale widzi mi się, że pragnie się zręcznie wycofać...

— A gdzie on teraz jest? — zapytał Andrzej Zborowski.

— W Piotrkowie, ale za parę dni ma powrócić.

— Nie lubią się oni z Górką, oj, nie lubią, — rzekł marszałek; — Krzysztof zaś tymczasem jeszcze uspokajał na stronie Stadnickiego.

— Wiem ja ci to dobrze,—odrzekł ten w końcu, — że wy zawsze mię poprowadzicie tam, gdzie wam się spodoba i że teraz będzie tak jak wtedy, gdyście mi tego szlachetkę z rąk wyrwali...

— Bo chciałbym byś się nie wdawał w takie drobne, niegodne ciebie, zatargi i odwety. Czy to warto, gdy mamy przed sobą ważniejszą sprawę...

— Dla mnie zemsta jest zawsze ważną!

Podczaszy ruszył ramionami pogardliwie.

— I taka zemsta dla ciebie wystarcza! — zawołał.—Żałuję cię w takim razie! Ale ja zawsze mówiłem, że przez te różne zwady i zatargi przyjdzie kiedyś do tego, że zginiesz marnis w boju niesławnym, o jakąś drobnostkę...

— Raz matka urodziła! — odparł Stadnicki, machnąwszy ręką.

— A jabym uważał się za ostatniego głupca, gdybym życie narażał dla drobnostki, gdy mam tu, obok, sprawę, dla której warto głowę nałożyć, bo przynajmniej idzie w niej i o zemstę nad wrogiem i o wyniesienie się całego rodu. Człowiek może sobie powiedzieć: albo starosta albo kapucyn. Nie udało się, to caput,—ale za to, co za świetna wiktorya, gdy nam się wszystkie zamiary powiodą i Zamojskiemu można będzie nogę postawić na karku! Jabym za tę chwilę wszystko oddał i nie żal dlatego ponosić największe trudy i prywacye. Co do mnie mam naturę lwa,—gardzę myszami, bo wolę większą zwierzynę!

— Czy i Opalińskiego zowiecie myszą?—zapytał Stadnicki z ironią.

— Przy Zamojskim to on mysz, która nam może przytem wielką oddać usługę, gdy poprzegryza sieci nas krępujące.

— Już wy tam sobie mówcie co chcecie, ale ja z Opalińskim nigdy przyjacielem nie będę— to darmo!

— Któż ci każe być mu przyjacielem? Jednego tylko żądamy od ciebie: byś się nie warcholił i nie zachodził mu w drogę.

— To on niech mi nie zachodzi! — zawołał Stadnicki gwałtownie.—Czy ja go pierwszy zaczepiłem?

— Już tam co do tego, to widłami pisane, — odparł podczaszy. — Wcale nie będę dochodził, kto z was pierwszy zaczynał, tylko cię proszę w imię wspólnego dobra byś na czas pewien nałożyć sobie pozwolił kaganiec i przestał się gryźć z Opalińskim a jak wygramy sprawę z kanclerzem, wówczas będziesz mógł sobie dogodzić.

— Tak, a teraz chcecie mię wziąść na smyczę, jak ogara...

— Bo dzik jeszcze nie wyszedł z legowiska.

Krysztof Zborowski tak wielki miał wpływ na na starostę żygwulskiego, że zawsze niemal potrafił go przekonać i przeciągnąć na swoję stronę. I teraz tak się stało; Stadnicki choć się zżymał i gniewał, w końcu dał się umitygować i przyrzekł do czasu dać pokój Opalińskiemu, przez wzgląd na przyszłe plany.

Było już późno, gdy się goście marszałka nadwornego rozeszli do swoich mieszkań, a Górka, który także mieszkał w pobliżu i właśnie wyprawiał u siebie ucztę, nawet się nie domyślał jakie projekta tworzono tuż obok na szkodę jego.

Pan Jan również późno powracał od rotmistrza Turowskiego i niedaleko dworca starościńskiego, zajmowanego teraz przez arcyksięcia, natknął się na kilku szlachty, wychodzących właśnie od wojewody poznańskiego. Jednym z nich był pan Magdaleński, wierny adherent tego ostatniego, rębacz, posiadający szablę tylko na jego usługi, za co Górka darzył go swemi faworami. Wiadomo było wszystkim, że Magdaleński na rozkaz wojewody gotów był wyzwać na rękę nawet samego dyabła, wiedział bowiem, że zostanie hojnie nagrodzony za takie nastawianie łba w jego sprawie.

Wszyscy owi biesiadnicy Górki byli pijani i pan Jan chciał ich minąć szybko, kiedy Magdaleński zawołał na niego:

— Ejże, co to waść tak uciekasz od nas, jakbyś licho obaczył? Chodź tu lepiej do naszej kompanii, inaczej powiem, że wszyscy oficerowie z pod chorągwi starosty śniatyńskiego baby i niedołęgi...

— Idź waść spać, tak będzie najlepiej,—odrzekł pan Jan, nie odwracając głowy, a jutro, gdy się wytrzeźwisz, to jeszcze z sobą pogadamy o tych babach...

— To rzekłszy, chciał przejść obok, kiedy Magdaleński zawołał, biorąc się za boki:

— No proszę, taki waść jesteś pyszny, że nawet nie raczysz gadać z biednymi jak my pachołkami, a przecie wszystkim wiadomo, kto był waścin ojciec... Zborowscy go promowali na starostwo zakroczymskie za to, że im wiernie

służył w rozmaitych sprawach, a nawet niektórzy mówią, że się podejmował zabić króla...

Zaledwie te słowa wymówił, kiedy już pan Jan stanął przed nim z dobytą szablą, wołając drżącym od gniewu głosem:

— Odwołaj waść w tej chwili to co rzekłeś!

— Ani myślę, — odparł butnie Magdaleński, podczas gdy towarzysze jego skupili się do koła;—każdy wie przecie, że waścin ojciec był banitą, że sie tam gdzieś włóczył po Zaporożu, nigdzie miejsca nie mogąc zagrzać, że gdy mu się naprzykrzył habit mniszy, to go zrzucił, aby zostać aryaninem, wcale nielepszym, niż był pierwej katolikiem.

— To nieprawda, waść kłamiesz! zawołał pan Jan i nie zważając, że jest jeden przeciwko czterem, rzucił się z dobytą szablą na Magdaleńskiego. Lecz tamci wszyscy skoczyli ku niemu i ujrzał cztery ostrza szabel skierowane przeciwko sobie. Z napastnika przemienił się odrazu w napastowanego i oparłszy się plecami o ścianę domu, odpierał jak mógł cięcia, wymierzane na chybił trafił, przy niepewnem świetle gwiazd, iskrzących się na niebie. Tymczasem z domu Górki wysypało się mnóstwo szlachty i dworzan, których szczęk broni przywabił w tę stronę, a że kamienica, zamieszkiwana przez Zborowskich, znajdowała się naprzeciwko, więc i tam usłyszano hałas. Okno się otwarło i sam marszałek nadworny stanął, przysłuchując się; tym sposobem był świadkiem całej prawie kłótni i słyszał zarzuty, czynione ojcu pana Jana przez Magdaleńskiego. Gdy walka się rozpoczęła, wysłał dworzanina na plac boju, mówiąc mu:

— Idź waść i powiedz w mojem imieniu, by natychmiast zaprzestali, gdyż inaczej rozkażę uwięzić tych, co śmieją bić się tuż pod oknami jego królewskiej Mości. Dworzanin wyszedł, by spełnić rozkaz, marszałek zaś przekonany, że tym sposobem walka zostanie przerwaną, odstąpił od okna. Jednocześnie na ulicy coraz więcej pokazało się szlachty, a między nimi znalazł się wojewoda poznański, który zdawał się bardzo zadowolony z całej tej awantury

Pan Jan, broniąc się od napastników, nagle zadał silne cięcie, po którem jeden z nich powalił się z jękiem na ziemię.

Zabit! Zabit! zakrzyknięto dokoła. W mgnieniu oka na ulicy pokazały się pochodnie, otoczono leżącego, a w pobliżu rozległ się głos Górki:

— Waszmościowie, szlachcic zabit tuż pod oknami jego królewskiej Mości; takowa obraza majestatu niepowinna być puszczona bezkarnie. Już i tak oficerowie pana Jazłowieckiego odznaczają się pomiędzy innymi swojem zuchwalstwem, i zachowują się tu u nas, tak jak gdyby byli jeszcze na pograniczu, pomiędzy dzikiem tatarstwem lub kozakami. Trzeba ich nauczyć, że tu nie są ziemie kresowe, gdzie ani prawo, ani życie ludzkie niema poszanowania...

— Tak, tak, zawołało kilka głosów, trzeba nauczyć!

— Zanim sprawa rozsądzoną zostanie, należy uwięzić zabójcę, ciągnął dalej Górka. Hej, wziąć go! krzyknął na swoich pachołków, czekających w pobliżu na jego skinienie. W mgnieniu oka pan Jan został rozbrojony i uprowadzony do więzienia.

Dworzanin marszałka doniósł swemu panu o wszystkiem, co się stało. Górka, któremu szło o to, żeby całą sprawę zakończyć przed powrotem Jazłowieckiego, mogącego wystąpić w obronie swego oficera, nazajutrz, skoro świt, kazał wezwać do siebie kilku wyższych dowódców wojskowych, tak Niemców jak i Polaków i przedstawiwszy im w krótkich słowach całą rzecz— wyraził w końcu swoje zdanie, że winnego należy ukarać śmiercią.

Maksymilian w obozie swoich stronników odbierał już cześć królewską, więc też nikomu niewydała się dziwną taka surowość i dowódzcy zgodzili się na to, że powinno się dać przykład, aby na przyszłość więcej przestrzegano uszanowania dla obranego króla.

— Jeśli my, w jego własnym obozie, nie oddamy mu czci należnej, to w cóż się obróci jego majestat i powaga? wołał Górka. Będziemyż patrzeć na to, jak mu bezkarnie uwłaczają, właśnie w chwili, kiedy nieprzyjaciele pragną mu zaprzeczyć praw do korony, ofiarowanej przez wolne głosy nas wszystkich? Nie; powinniśmy natychmiast śmiercią ukarać zuchwalca, który takiej zbrodni się dopuścił.

Naturalnie, że Magdaleński oraz jego towarzysze, jako należący do adherentów Górki, dowodzili wszyscy, że pan Jan bez żadnej przyczyny z ich strony, rozpoczął kłótnię a następnie rzucił się z dobytą szablą na Magdaleńskiego i na nich i zabił jednego z nich pod oknami arcyksięcia.

To samo potwierdzali wszyscy obecni przy walce.

Pan Jan był przedewszystkiem oszołomiony tem, co się stało, cała ta awantura zdawała mu się snem i gdy go stawiono przed sądem, wyglądał jak człowiek przebudzony ze snu; na twarzy jego nie widać było obawy, tylko jakby zdziwienie.

Wprawdzie z tryumfującej twarzy wojewody mógł się domyśleć co go czeka, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tem, bo go wezwano, by odpowiadał na oskarżenie mu uczynione.

Zaledwie zdołał wymówić słów parę, gdy drzwi się otwarły i wszedł marszałek nadworny. Pomimo złych spojrzeń Górki, zasiadł spokojnie w pośród sędziów i rzekł, spoglądając w twarz wojewodzie poznańskiemu.

— Pozwólcie, mości wojewodo, że i ja w tej sprawie głos zabiorę, nietylko jako senator i urzędnik dworu jego królewskiej mości, ale też i jako świadek naoczny. To rzekłszy, począł opowiadać całe zajście, tak jak rzeczywiście miało miejsce

— Z tego więc wynika, zakończył, że nie kto inny był tu winien, jeno ów szlachcic Magdaleński, który pierwszy zaczepił porucznika Ługowskiego, zadając infamią jego ojcu, przyczem rzucił kłamliwe oskarżenie i na cały ród nasz, za co żądam, by był ukarany...

Górka kilka razy w ciągu całej mowy zrywał się, chcąc przerwać, ale marszałek ciągnął spokojnie do końca, nie zważając na to. Wreszcie wojewoda zawołał:

— Nie możecie jednak zaprzeczyć temu, że porucznik Ługowski zabił człowieka pod oknami jego królewskiej mości...

— O ile wiem, ów szlachcic żyje i ma się już dziś lepiej, odrzekł Zborowski, a co do tego, że to się stało pod oknami miłościwego pana, przez co staje się winien laese majestatis, tedy jako marszałek nadworny pierwszy wdam się w ową sprawę i pomówię z jego królewską mością o tem, tymczasem zaś żądam zawieszenia sądu, aż dokąd on sam nie wyda wyroku.

Górka, ujrzawszy, że mu się zemsta wymyku, pozieleniał ze złości, ale nie mógł się spierać dalej z marszałkiem, który, mając w każdej chwili przystęp do Maksymiliana, udał się do niego natychmiast, gdy ten wstał i przedstawiwszy ma całą sprawę jak była, prosił zarazem gorąco o ułaskawienie młodzieńca. Prośba, zaniesiona przez tak przemożnego stronnika jak marszałek musiała znaleźć ucho u arcyksięcia i pan Jan niebawem został uwolniony.

Gdy przyszedł podziękować za to panu Andrzejowi Zborowskiemu, ten odparł uprzejmie ale i z dumą zarazem:

— Nie dziękuj mi waszmość, — jest to tylko dług, spłacony synowi za zasługi ojca. Jeszcze dotąd nikt nie powiedział, by Zborowscy byli kiedy niewdzięcznymi za okazane poświęcenie.

Poczem dodał, patrząc na niego:

— Radbym, byś waszmość mógł także w przyszłości przejść na naszą służbę a wtedy widziałbyś, jak umiemy cenić ludzi śmiałych i mężnych.

— Nigdy nie wątpiłem o tem, panie marszałku, — jednakże zobowiązania, jakie mam względem starosty śniatyńskiego, nie pozwalają mi go rzucać bez żadnej przyczyny...

— O, jeżeli o to tylko waszmości idzie, to znajdziem na to sposób, odparł marszałek z wyniosłą swobodą wielkiego pana, pomówię sam ze starostą, skoro powróci.

Coś było w tych słowach, co pomimo wdzięczności, jaką czuł pan Jan dla swego wybawcy, dotknęło go przykro. Nie wierzył wprawdzie, by pan Jazłowiecki zgodził się na jakiś układ w tym rodzaju, a jednakże na samą myśl, że Zborowscy z powodu owej przygody, z której go uratowali, patrzyli już na niego, jakby na człowieka wziętego na własność, coś się w nim buntowało tajemnie. Doznawał takiego uczucia, jak gdyby walczył z prądem, który porywa go i unosi coraz dalej od brzegu, gdzie wszystko zostawił, co swoje i bliskie.

Nazajutrz powrócił Jazłowiecki, ale natychmiast po jego przybyciu rozeszła się wiadomość, że wraz z wojskiem swem wyrusza zaraz na Podole.

Pan Jan, wezwany przez niego, na wstępie już poznał po twarzy starosty, że jest zniechęcony i nierad, widocznie nie wszystko szło mu po myśli.

— Mówił mi pan marszałek nadworny o przygodzie, jaka cię spotkała, ozwał się po chwili, dałbym głowę, że wszystko to było naprzód obmyślanem przez wiernych służków wojewody poznańskiego. Dziękuj Bogu, że pan Andrzej Zborowski stanął w twej obronie, bo Górka chciał cię zgubić koniecznie, korzystając, że ja byłem nieobecny i nie mogłem cię bronić.

Wszystkie owe kłótnie i zatargi stanęły mi kością w gardle!... Widzę, że z panem wojewodą razem być nie możemy i dlatego jadę na Ruś; gdy ja będę w Kamieńcu a on tu, może uczynimy co dla wspólnej sprawy, ale razem nigdy. Zresztą, mówiąc prawdę, nie wierzę już by oni mogli utrzymać się przeciw królowi ukoronowanemu i przyznanemu przez naród, zwłaszcza, że jedności brak...

— Więc sądzicie, panie starosto, że niema nadziei, by arcyksiąże został królem naszym? spytał pan Jan. A jednak mówią, że już tam w Krakowie niebardzo radzi z Zygmunta podobno...

— Ja nic nie sądzę; Zborowscy tam prowadzą swoją politykę i może im się ona powiedzie, alem ja do polityki niezdatny, jeno do szabli i wolałbym, żeby mi oni dali spokój z tem wszystkiem, bo kiedy tu się zabawiamy w politykę, tam może tymczasem orda ruszyć i spustoszyć całe Podniestrze. I niedziw, — każdy wróg potrafi u nas hulać, ile dusza zapragnie, gdy zamiast opatrzyć granice, spieramy się pół roku o to, który król lepszy. A niechże sobie panuje jaki chce, byle Tatara ani Turka w granice nie puszczał, bo pierwszą i najważniejszą sprawą jest bezpieczeństwo od strony pogan. Dlatego też zostawiam ich tutaj; niech radzą, paktują i kłócą się, jeśli chcą, ja zaś wolę wracać do domu i pilnować pogranicza, bo jak mi donoszą w listach niektórzy rotmistrze tamtejsi, coś za bardzo Tatarstwo zaczyna się ruszać na stepach i bodaj czy nie wybierają się odwiedzić nas niebawem z całą potęgą.

Panu Janowi na myśl o tych zapasach z Tatarami zaiskrzyły się oczy; podniósł głowę, jak koń wojenny, gdy zasłyszy odgłos trąbki. To nieczynne, pełne jakiegoś wyczekiwania życie w obozie Maksymiliana było dla niego męczarnią i oddawna już wspominał z tęsknotą pobyt na kresach, wśród nieustannych trudów i niebezpieczeństw, myśląc, że jednak były to stokroć szczęśliwsze czasy, w których nie znał wcale co to zniechęcenie i niezadowolenie z samego siebie. Z jakąż rozkoszą rzuci się znów teraz w to życie pełne przygód, jak wolno odetchnie, znalazłszy się wśród szerokich stepów; zostawiwszy za sobą daleko gorzkie wspomnienie bratobójczej walki, które mu wciąż jeszcze stało przed oczami, niby straszne widmo!

Starosta odgadł widocznie wszystkie te myśli i na jego zwykle wyniosłem i spokojnem obliczu odbiło się coś jakby zakłopotanie.

— Właśnie wezwałem cię do siebie, rzekł po chwili namysłu, bo chciałem pomówić z tobą w jednej sprawie. Zborowscy pragnęliby mieć cię w swojej służbie, gdyż ich kupom braknie zdolnych dowódców, a poznali się na tem, że co wyszło z mojej szkoły, to trochę więcej warte niż wojsko wojewody poznańskiego, które umyka zaraz po pierwszem natarciu, jak zające. Dość, że marszałek koronny zaczepił mię dzisiaj, pytając, czy nie będę przeciwnym, żebyś został

u nich, na co odrzekłem, że choć byłeś u mnie zawsze w cenie, za męztwo i za sprawność w służbie, jednakże nie chcę cię wiązać, ani zagradzać drogi ku promocyi.

— Panie starosto, rzekł pan Jan, czyż naraziłem się wam w czemkolwiek, że chcecie się mnie pozbyć?

— Zkądże ci to przyszło? odrzekł żywo Jazłowiecki. Wcale nie, tylko pragnę twego dobra. U mnie nigdy nie poszedłbyś w górę tak rychło, jak u nich. To ród, który pozostanie zawsze możnym i potężnym; służyć im, to tak jakby służyć królowi, a może i więcej jeszcze. Kto wie, co ich czeka jeszcze, czy nie staną znów przy tronie, na miejscu Zamojskiego, wszystko do tego idzie bowiem. A tam u nas co? Ludzie, którzy nie zsiadają z konia i nie zdejmują zbroi ni w dzień, ni w nocy, albo giną gdzie w stepie w czasie podjazdu, albo okryci ranami, na starość dosłużą się rotmistrzowstwa i tyle. Źle byś więc zrobił, gdybyś nie przeszedł do Zborowskich, zwłaszcza gdy ci odrazu dają pod dowództwo chorągiew dragonii i gdy masz jeszcze za sobą zasługi ojca, przez pamięć których będą cię promowali napewno.

Pan Jan słuchał tej mowy i miał chęć odpowiedzieć, że jednak on by wolał owo rycerskie, choć niezbyt świetne życie na kresach, niż wszystkie łaski Zborowskich, ale po twarzy starosty poznał, że ten już w duchu rozstrzygnął całą sprawę, nim jeszcze go zapytał o zdanie. Na myśl tę jakoś dziwnie mu się serce ścisnęło; więc bez pytania zadecydowano o jego przyszłości, a pan Jazłowiecki, by dogodzić chęciom marszałka nadwornego, pozbywał się go bez żalu, jak gdyby już zupełnie nie dbał o niego, on, którego ojciec przed śmiercią wybrał mu na protektora. Prawda, mówił, że czyni to dla jego dobra i rady jego rzeczywiście były życzliwe i rozsądne, ale pan Jan nie mógł zrozumieć tego, by można zrywać tak łatwo i obojętnie niektóre związki, łączące ludzi z sobą. Dotąd patrzył na starostę śniatyńskiego z całym zapałem i uwielbieniem młodości, jako na wzór rycerza i wielkiego męża, który kiedyś zaświeci sławą; szczęśliwym się czuł że pod jego kierunkiem stawiał pierwsze kroki w rzemiośle wojennem i dumnym był ze wszystkich zwycięztw, odniesionych przez niego, jakby ze swoich własnych. Dobrze jeszcze pamiętał pierwszą bitwę i to wzruszenie, jakiem go napełniła pochwała za męztwo, usłyszana wtedy z ust starosty. Dla niego były to wszystko zdarzenia niezapomniane i ciężko mu było pomyśleć, że ktoś inny patrzy na to obojętniej i ścigając osobiste cele, nie troszczy się o takie drobnostki.

Zapytywał się też w duchu, co ma teraz począć z sobą? Współczucie i pomoc, jakie mu niedawno okazał marszałek, zmuszało go niemal do przyjęcia ofiarowanej mu służby; zresztą, jak na ten raz, nic innego mu nie pozostawało. Przychodziło mu wprawdzie na myśl, że mógłby teraz starać się o pojednanie ze stryjem, ale miłość własna odradzała mu krok ten; nie chciał bowiem przybywać w progi domowe w roli owcy zbłąkanej, która nie mogąc znaleźć nic lepszego, powraca pokornie do zagrody. Przyjdzie, ale nie wtedy, gdy go okoliczności do tego będą zmuszać, lecz z własnej, nieprzymuszonej woli jedynie, by okazać cześć, należną opiekunowi.

Prócz tego czuł w sobie gorącą potrzebę wiary w ludzi i postępek marszałka nadwornego znów wydał mu się czemś niepowszedniem; powiadał sobie, że nie każdy zajął by się tak wspaniałomyślnie losem nieznanego człowieka, jedynie przez pamięć, że ojciec jego niegdyś oddał mu niejakie usługi. Najlepszy miał wszakże przykład na panu Jazłowieckim, który tak obojętnie z nim się rozstawał, nie bacząc, że przez przywiązanie dla niego zerwał z najbliższą rodziną...

Gorzka ta myśl nadto wyraźnie odbiła się na jego twarzy, żeby bystry wzrok starosty mógł jej nie wyczytać,—to też przy pożegnaniu powiedział mu kilka słów serdecznych, dodając, że gdyby kiedykolwiek znalazł się w jakiejś potrzebie, może zawsze liczyć na jego pomoc i życzliwość.

Pan Jan podziękował i natychmiast od niego udał się do marszałka, który go przyjął bardzo łaskawie i uprzejmie, ponieważ coraz więcej ubywało mu ludzi, a ci co zostali, byli to po większej części warchoły bez wielkiej wartości, na których liczyć nie można było w żadnym wypadku.

Tegż samego dnia kiedy pan Jan objął dowództwo nad chorągwią dragonii Zborowskich, starosta śniatyński wyruszył do Kamieńca ze wszystkiemi swojemi hufcami.

Górka nie śmiał już napastować człowieka, znajdującego się pod możną opieką Zborowskich zwłaszcza, że ten był bardzo dobrze widziany przez pana marszałka i wielu było takich, którzy mu zazdrościli stanowiska i wziętości.

On sam jednak doznawał dziwnie przykrego uczucia na myśl, iż los stanowczo przerzucił go na stronę, do której dotąd, jak mu się zdawało, czasowo tylko należał. Po owem bowiem spotkaniu z bratem w bitwie na Garbarzach, myślał tylko wciąż nad tem, jakby się usunąć i cieszył się gdy usłyszał, że pan Jazłowiecki zamierza powrócić na Ruś, kiedy nagle okoliczności chwyciły go zębatem kołem, pociągając zupełnie gdzieindziej niż zamierzał.

Z nowymi towarzyszami, z wyjątkiem rotmistrza Turowskiego, mało się wdawał, bo go razili swojem postępowaniem. Oni też w zamian patrzyli na niego niechętnem okiem, nazywając go pyszałkiem i zawsze byli gotowi wynaleźć coś w jego życiu, coby mogło rzucić cień na niego.

Niepodobna jednak było zupełnie usuwać się od ich towarzystwa i nieraz musiał brać udział, chociaż ze wstrętem, w owych pijanych biesiadach, kończących się najczęściej jakimś krwawym zatargiem. Najbardziej rozpasanym ze wszystkich był Harasowski, szlachcic, dowodzący oddziałem zaciągniętym na własną rękę i odznaczającym się gwałtami popełnianemi nad okoliczną ludnością na wspólz cudzoziemskiem żołnierstwem Krzysztofa Zborowskiego. W ogóle, gwałty i rabunki były na porządku dziennym; szlachta uciekała z okolic nawiedzonych klęską, wieśniacy zaś wyglądali, jak zbawienia, przybycia wojsk hetmańskich. Okolica była tak ogłodzona przez dłuższy pobyt licznego wojska, że w pobliżu na znacznej przestrzeni niepodobna było dostać ani żywności, ani paszy dla koni, a włościanie niektórzy porzucali chaty i kryli się po lasach, gdzie jak cyganie koczowali pod gołem niebem.

Jednego dnia pan Jan, idąc ulicą, spotkał człowieka odzianego w ciemne szaty, niemłodego już, który go zapytał o mieszkanie kasztelana kamienieckiego.

— Idę w tę samą stronę, więc mogę je wam wskazać, odrzekł pan Jan, domyślając się, że ma przed sobą jednego z predykantów dysydenckich, jakich dużo znajdowało się w obozie. Po chwili nawet przypomniał sobie, że go widywał dawniej jeszcze przy boku Krzysztofa Zborowskiego.

W drodze nieznajomy starał się zawiązać z nim rozmowę, ale on nie czuł do niej wielkiej chęci i zbywał krótkiemi odpowiedziami wszystkie jego zapytania, jakkolwiek w duchu musiał przyznać, że człowiek ten posiadał powierzchowność budzącą zaufanie i że w obliczu jego malowały się rozum i powaga.

Przy pożegnaniu predykant podziękował uprzejmie za odprowadzenie, i powiedziawszy, że się nazywa Hohlman i że mieszka w domu podczaszego koronnego, prosił pana Jana, by go odwiedził kiedy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# SIEROTA.

W mgle srebrzystej rozwiała cię cicha,
Biała postać, powiewna i drżąca.
W koło cisza. Wśród liści wiatr wzdycha
I migają promienie miesiąca.

A dziecina wychudłe rączęta
Załamała na matki mogile —
Ach to ona — ukochana, święta,
Pochylała się nad nią przez chwilę...

„Zabierz, zabierz mnie z sobą, mateczko,
Mnie na ziemi tak ciężko bez ciebie!
Łzy me tylko osusza słoneczko,
Co po jasnem przesuwa się niebie.

„Ni przygarnąć, ni popieścić komu,
Ni nakarmić zgłodniałej sieroty!
Gdy znużona powracam do domu,
Znów do ciężkiej zmuszają roboty.

„O matuchno, ukaż się raz jeszcze,
Raz ostatni swej córce jedynej,
Niech się z tobą choć chwilę popieszczę,
Nie porzucaj tak biednej dziewczyny!“

Próżno dziecię modli się i woła,
Nic nie widać,—listkami wiatr trąca.
Tylko mocniej zapachniały zioła
I mignęły promienie miesiąca.

*Marya Trzcińska.*

# Korrespondencya z Krakowa.

*W Marcu.*

W poprzednim liście naszym z podwawelskiego grodu dostrajaliśmy się do chwili i, zapatrzeni w mury Jagiellońskiej wszechnicy, witaliśmy wiejące ztamtąd prądy świeże i ożywcze; dziś przyjdzie nam znów, śledząc za jednym z najnowszych życia tutejszego objawów, zajść... dokąd? Otóż i kłopot, bo ku tylu naraz kierunkom ciągnie nas serce, ciekawość i obowiązek, że niewiadomo od czegoby zacząć. Zacznijmyż od podstaw, a więc od wystawy, wystawy—szewckiej!

Tylko proszę się nie odwracać ze zgrozą lub lekceważeniem, czytelniczko nadobna czy dostojna, bo to nie jest żaden zwykły magazyn obuwia, ani reklama zagraniczna, lecz przedstawiony nader zajmująco rezultat odbytego tu staraniem ludzi dobrej woli (jak insp. Nawratil i t. p.) kilkotygodniowego kursu wyższego dla szewców. Teraz na wystawie urządzonej w dwóch salach jednej ze szkół miejskich (drewnianej, t. z. barakowej, na placu Biskupim) sami uczniowie kursu, to jest kilkunastu majstrów i tyluż czeladników, objaśniają ciekawej publice (a przewinęło się przez dwa tygodnie kilkadziesiąt tysięcy tych ciekawych), czego i jak się uczyli na kursie. Więc pokazują pięknie wykonane rysunki anatomiczne i estetyczne nogi ludzkiej, geometryczne obliczenia proporcyj do wykonania wygodnego, ładnego, a ściśle do kształtu zdrowej lub chorej i skoszlawionej nogi przystosowanego obuwia. Dalej na stołach widzimy już wykończone obuwie, od najprostszego do najwykwintniejszego, pięknym haftem z je-

dwabi, złota lub paciorek ozdobionego bucika czy pantofelka. Na innych stołach poukładane materyały wszelkie szewckie, więc skóry i skórki najrozmaitsze, podszewki, sznurowadła, sprzączki i t. p

W osobnej sali, której środkiem ciągnie się olbrzymi stół także z próbkami obuwia najładniejszego różnych kształtów i kolorów (z adresami jego twórców), ustawiono szereg maszyn, poruszanych motorem gazowym. Tu właśnie w oczach widza dokonywają się roboty wszelkie, od najprostszych, aż do tych misternych haftów, które dorównywają dawniejszym, tyle trudu i mozołu kosztującym robótkom ręcznym. Ustawiono też i maszyny (Singerowskie nowego systemu), które za wśrubowaniem osobnego krążka, niby małego tamburka do haftu wyrabiają szybkim ruchem najdelikatniejsze hafciki na gazie lub muślinie, mereżki ażurowe, a także *ceruja* subtelnie dziury w płótnie lub innych materyałach.

Słowem, przemysł ludzki dochodzi do wyników coraz misterniejszych i budzi uznanie, wdzięczność, ale i... pewny niepokój. Bo i któż nas zapewni, że ta istota ludzka, uwolniona od ciężkich wysiłków fizycznych, od uciążliwych trudów i mozołów, otrząśnie z siebie ów pył i kurz oczy jej przesłaniający i spojrzeć zapragnie wyżej, w górę, ku słońcu i pięknu?... Kto zdoła i zechce pokierować i rozwinąć te siły oswobodzone, ale jeszcze takie niewprawne, nie pewne?... Ale to zagadnienie za poważne, za obszerne do listu, będącego echem wrażeń chwili, więc pozostawmy je komu innemu.

O tych innych znów pogawędzić wypadnie, bo jakże nie wspomnieć o tych zacnych zamiarach, o tych czynach i przedsięwzięciach szlachetnych, które łzę do oka napędzają, a serce budzą do szybszego bicia.

Może zajrzymy do szkółki księdza L. Zbyszewskiego, zwanej „Domem rodzinnym;“ tam w domu już własnym, staraniami i zabiegliwością zacnego opiekuna wzniesionym, wychowuje się grono chłopaczków biednych, z których wyrosnąć mają poczciwi i rozumni księża, a gdyby powołanie się nie rozwinęło dostatecznie, to nauczyciele wiejscy, starannie i bogobojnie wychowani pracownicy dla ludu.

Od jesieni ma być tamże otwartą szkółka dla dziewczątek także ubogich, kształcących się, a raczej wychowujących się na wiejskie nauczycielki. Co o tem mówi sam czcigodny twórca instytucyi (przeważnie drogą ofiar urządzonej, posłuchajmy:

„Chcemy wychować nauczycielkę, któraby, nie będąc panią na wsi, umiała zajmować się ludem, jak na panią przystało, i któraby umiała zarazem przyłożyć rękę do pracy, nie marząc o przewrotach społecznych. Widzimy na Zachodzie, jakim elementem cywilizacyi jest kobieta ludowa i chrześcijańska w rodzinie, gdy za nią stoi ktoś, co ją słowem i przykładem wspiera.“

I wskazuje społeczeństwu drogę do urzeczywistnienia tych marzeń: mianowicie niewielkie wsparcie stypendyjne dla wychowujących się w „Domu Rodzinnym“ dziewczątek (około 6 zł. miesięcznie). Mimowoli bierze ochota przyczynienia się do tego pięknego dzieła, mającego społeczeństwo dźwigać i umoralniać najskuteczniej, bo od podstaw zaczynając, pracą powolną, ale stałą, wytrwałą, nie zaś krzykliwemi hasły i siejącem nienawiść podżeganiem.

Albo znów ta broszura znanego filantropa dra Jordana, który założywszy ów nieoceniony park dla dzieci za Wolskiemi rogatkami, teraz znów rozpoczyna akcyę w celu pobudowania tanich a czystych i osobnych mieszkań dla robotników. Z czasem ma też tam powstać i kąpiel ludowa i ochronka i sala zebrań. Mój Boże! Aż się cieplej i raźniej w sercu robi na myśl o takiem urzeczywistnieniu socyalnych teoryj!

Piękne to wszystko, zacne, ale... niezabawne! gotowe zawołać czytelniczki „Bluszczu,“ więc z giętkością właściwą kronikarzom, przeskoczymy wnet od tanich mieszkań na „Raut artystyczny.“

„Takiego rautu jeszcze Kraków nie widział!“ powtarzały różnobarwne i ożywione tłumy snujące się po owej, także do niepoznania przekształconej sali „Sokoła,“ której twarde linie i niewdzięczne rozmiary ginęły pod mnóstwem rozpiętych i rozwieszonych płócien, draperyj, dekoracyj najrozmaitszych. I tak: pomiędzy oknami rozwieszono „panneaux,“ przedstawiające w parodyi różne rodzaje malarstwa: Gawińskiego „Idealizm,“ Batowskiego „Dekadentyzm,“ dalej „Realizm“ (Trzebiński), „Symbolizm“ (Bukowski), „Dyletantyzm“ (Weiss), „Impresyonizm“ i t. p.

Przy węższej znów ścianie „wprost z tyłu widza,“ jak głosi objaśnienie drukowane, zawieszona przez pewnego architekta, po długich studyach, na prostej baryerze galeryi „Panorama Chińska,“ wyborna parodya grasującej manii panoram, przedstawiająca „Walkę chińczyków z niewidzialnym nieprzyjacielem.“ Pełno tu żartobliwych aluzyj: bomby broczą krwią, przelatując w powietrzu; jeden z Chińczyków ma prawdziwy warkocz, (efekt sumiennych studyów artysty), drugi niesie na plecach but z prawdziwą podeszwą; efekt ognia wytworzony za pomocą lusterka skupiającego; na dwóch zaś końcach zabawne karykatury bakcylusa panoramy i dyoramy. Samo zagruntowanie obrazu (zawsze według objaśnienia!) pochłonęło 750 kilogramów białej farby i zużyło 73 pędzle.

W przeciwnym rogu sali, dwie obok siebie stylowo urządzone pracownie: starej daty (Trzebiński) i modernisty (Weissa), wabią liczne zastępy amatorów, którzy naprędce pozują do portretów za nizką cenę „à la minute“ szkicowanych. I tu jednak panowie są faworyzowani, bo płacą mniej, niż nadobna połowa rodzaju ludzkiego, składając tylko dodatkową taksę za „wąsy,“ jeżeli się cieszą tą twarzy ozdobą, będącą jeszcze dotychczas, mimo równo uprawnienia, zazwyczaj męzkiego tylko oblicza przywilejem.

Cała długa ściana po pod oknami zawieszona jest szkicami i obrazami do wygrania przeznaczonemi. Tu, obok przepysznych, jak zwykle, koni Kossaka, nad „główką“ Wyczółkowskiego i krajobrazkiem Stanisławskiego, widzimy nagle poza ramką złoconą „martwą naturę,“ ale dziwnie łudzącą, jak owe Apellesowe winogrona: chce się dotknąć tego salcesona, odkorkować butelkę omszałą i... zaprawdę! trud się opłaci, bo ta butelka i ten salceson i ser na talerzyku, to wszystko... rzeczywiste — to figiel dowcipny panów artystów, czy realistów!

Inny znów „artysta“ wybornie głosem naśladuje fonograf, śpiewający sygnały trąbkowe z „Parsifala“ wagnerowskiego.

Kilku malarzy przebranych za Turka, Arlekina, Pazia, Herolda i t. p., snuje się między gęstym tłumem publiczności, zapraszając i ułatwiając przejście lub zajęcie miejsca.

Przy stolikach piękne panie sprzedają bilety, kwiaty, programy artystycznie wykonane; gospodarują przy bufecie, słowem ruch, gwar, wesołość. A orkiestra wyborna, przygrywa — od czasu do czasu występuje na estradę chór, albo rozbrzmiewa piękny tenor solo (p. Jeudl). Już bilety rozkupione, panie zsuwają pod stół wory, kosze i szkatułki brzęczące, obfitym plonem; a wszyscy się ku estradzie zwracają, bo właśnie około północy para wybornych artystów teatru (Kamiński i Trapszówna) odgrywają jednoaktówkę Benedixa „Broń niewieścia.“ Słowem oko, ucho, myśl ubawione, oczarowane, a wszędzie ruch i wesołość; przesuwa się niby szereg żywych obrazów. Tu piękny ułan w wygalowanym uniformie, pochyla się ku uroczej patronesie rautu, odpowiadającej mu coś z uśmiechem z poza bukietu żółtych róż i wonnych fijołków. Tam strojna dama z pomocą męża czy brata, dźwiga stos wygranych szkiców, czy nabytych „jednodniówek.“ Obok grona rozbawionych panienek, rzucony z brawurą profil pięknego młodzieńca, który złożył według regulaminu dodatkową taksę „za wąsy.“

Wstyd się przyznać, ale gwary te, szmer i śmiechy przytłumiają i zagłuszają, poniekąd płynące z estrady fale harmonii i melodyi: Moniuszki, Masseneta, Żeleńskiego, Noskowskiego, Webera i t. p. Ależ to tylu wrażeniom zadość uczynić niepodobna. A tu jeszcze rozpoczyna się licytacya na pozostałe z dekoracyi sali dzieła sztuku. „Idealizm, pięć reńskich; kto da więcej?...“ „Sześć!“ „Siedm!“ „Jedenaście i pół — poraz pierwszy — drugi — trzeci!...“ „Symbolizm,“ „Wieczór,“ „Jesień“ — wszystko idzie jedno za drugiem, ale o Nieba! już pierwsza, czy nawet druga po północy!... Sala się opróżnia. W garderobie — o dziwy! porządek jaki taki — przed gankiem dorożek kilka, nowy dziw! nie poznajemy Krakowa. Krakowianie prawdziwi i importowani (a tych ostatnich zawsze najwięcej) sami siebie nie poznają. Taki był koniec rautu artystycznego i... listu naszego tym razem, bo już dziś nie powiemy ani o misyach afrykańskich, ani o brudach „parlamentarnych,“ ani...

*M. S.*

# Z bieżącej chwili.

— W miejscowości, gdzie się urodził Rubinstein w gubernii Podolskiej, wzniesiony będzie gmach na szkołę muzyczną imienia Rubinsteina. W tym celu pisma rossyjskie zbierają składki.

— „Pet. Wied.“ (N 71) donoszą, iż z nastaniem wiosny założone zostaną fundamenty pod nowy kościół rzymsko-katolicki w Odessie. Na budowę kościoła zebrano dotąd 200,000 rs, Pewna francuzka, która wygrała teraz 200,000 rs. na premiówce, połowę tej summy złożyła na ten sam cel.

— Pisma rossyjskie donoszą, iż pod przewodnictwem ministra rolnictwa zacznie obradować specyalna komissya w sprawie używalności bogactw kopalnianych, znajdujących się we wnętrzu ziemi.

— Ministeryum skarbu wniosło w tych dniach do rady państwa projekt pozwolenia bankom handlowym na operacye sola-wekslowe.

— Znany w Warszawie przedsiębierca i autor projektu budowy bulwarów nad Wisłą i wielu innych, inżynier Devars, zmarł d. 26 b. m. w majątku swoim w południowej Francyi. Wiadomość tę otrzymał w Warszawie inżynier pan J., ówczesny dyrektor przedsiębierstwa.

— Na zjeździe przedstawicieli szkół przemysłowych, w tych dniach w Petersburgu otwartym, poruszone zostały różne sprawy, dotyczące kwestyi wykształcenia fachowego. W ciągu ostatniego dziesięciolecia otwarto nowych zakładów: 11 średnich szkół technicznych, 10 niższych szkół technicznych, 22 szkoły rzemieślnicze, 11 szkół dla uczniów rzemieślniczych i 18 niższych szkół rzemieślniczych. Oprócz tego w zarządzie ministeryum oświaty znajduje się jeszcze pięć wyższych szkół technicznych i około 60 różnego typu szkół technicznych i rzemieślniczych. W dobie najświeższej stwierdzono coraz większy rozwój potrzeb w tej mierze; ministeryum też zajęte jest obecnie projektem nowych przepisów, szkół tych dotyczących.

— Zamierzono urządzić wystawę retrospektywną z dzieł malarzy polskich nieżyjących, na rzecz Towarzystwa Przeciwżebraczego. Zebrani członkowie komitetu z wice-prezesem na czele, uznali, że lokal Towarzystwa wioślarskiego jest zaszczupły na pomieszczenie kilkuset płócien, przytem niektóre są bardzo duże. Dlatego postanowiono starać się o pozwolenie sali redutowej, jako najodpowiedniejszej na ten cel. Tylko płótna znakomitej wartości ustawione będą. Pomoc swą przyrzekli ks. Radziwiłł i hr. Łubieński.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż osoby płci żeńskiej, które ukończyły zakłady medyczne uniwersyteckie za granicą, mogą zdawać egzamen z łaciny w zakresie kursu gimnazyalnego, w celu otrzymania pozwolenia na zdawanie egzaminu na stopień lekarza w jednym z uniwersytetów rossyjskich.

— Ministeryum rolnictwa otwiera w r. b. w różnych miejscowościach państwa, na zasadzie ustawy normalnej, 36 szkół niższych rolniczych, 16 ogrodniczych i innych specyalnych.

— Dokonanego spisu jednoniowego „Praw. Wiest.“ zaznacza pewne rezultaty. W całem państwie znajduje się 865 miast; w 39 guberniach Rossyi Europejskiej jest 604 miast, na Kaukazie 44, w Syberyi 49, w Azyi środkowej 54. Ogólna cyfra ludności miejskiej wynosi 16,507,000, a mianowicie w Rossyi Europejskiej 12,027,000, w Królestwie Polskiem 2,055,000, na Kaukazie 1,010,000, na Syberyi 473,000, w Azyi Środkowej 936,000. W ten sposób średnia cyfra zaludnienia miast wynosi w Rossyi Europejskiej 20,000 osób, w Królestwie Polskiem 18,000, na Kaukazie 23,600, na Syberyi 10,000, w Azyi Środkowej 17,500. Petersburg liczy 1,132,000 mieszkańców, Moskwa 988,600, Warszawa 638,000, Łódź 315,200, Kijów 247,400, Wilno 159,500, Mińsk 91,400, Witebsk 66,000, Żytomierz 65,400, Lublin 50,100, Libawa 64,500, Białystok 63,900. Stosunek ludności miejskiej do wiejskiej jest bardzo rozmaity w różnych częściach państwa.

## MYŚLI.

Cóż to jest człowiek wielki, i czemu jest wielkim? Oto, że każdy z nas małych postrzega cząstkę siebie w jego wielkości.

*Ad. Mickiewicz.*

—

Każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw. O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze.

*Tenże.*

—

Praca jest olbrzymią potęgą, idzie ona z potęgą sił natury w zapasy i hołduje je sobie. Wydarła niebu pioruny, dosiadła jak wierzchowca grzbiet niezmierzonego oceanu i chłoszcze go wiosłami, zdobywa na morzu ziemię, którą od wściekłości bałwanów wałami zasłania.

*Karol Libelt.*

—

Sąd sceptyka lęgnie się z pychy serca,—bo uznanie bytu Boga łączy się w człowieku z pokorą głęboką, z uznaniem swojej malizny wobec wiekuistego majestatu Mistrza i Stworzyciela światów. Kto nie uznaje Boga, sam siebie kładzie na pierwszem miejscu we wszech jestestw kolei, sam się ubóstwia, sam Bogiem się mieni. W jego serce wszepnął ów wąż kusiciel: Będziecie jako bogowie.

*J. Kremer.*

—

Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie;
Tak Bóg czyni we wszechświecie
Bo cel światów—szlachetnienie.

*Z. Krasiński.*

—

Kto się skarży, ten nie cierpi.

*J. I. Kraszewski.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 6 T. II, powieści, p. t. **Masarenowie**, przez Ouidę. Przekład Z. S.


# DZIEŁO PREMJOWANE NA KONKURSIE

ogłoszonym przez wydawcę BLUSZCZU, pod tytułem:

# WYCHOWANIE MACIERZYŃSKIE,

przez

## ZOFIĘ KOWERSKĄ.

WYDANIE NOWE POMNOŻONE.

**Dzieło to zyskało sobie ogólne uznanie, jako przewodnik dla matek i ojców, w kierowaniu tak umysłowem jak i fizycznem wychowaniu dzieci**

Cena egzemplarza rs 2, z przesyłką pocztą rs. 2 kopiejek 30.

Dla prenumeratorów Bluszczu rs. 1, z przesyłką pocztą rs. 1 kop. 20

Publiczność nasza w tej książce zyskuje cenny nabytek, wspomagać mogący kobietę w najważniejszych zadaniach jej życia.

*Do nabycia w Redakcyi Bluszczu i we wszystkich księgarniach.*



**Treść:** Grzechy pedagogiczne. Studya z natury, przez Janinę S. Aleksotę.—Z cyklu sonetów. „Na jednej strunie,“ przez Władysława Nawrockiego.—Berta Galleron, przez Sewerynę Duchińską. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg).—Sierota, przez Maryę Trzcińską.—Korrespondencya z Krakowa, przez M. S.—Z bieżącej chwili.—Myśli.

**Dodatek obejmuje:** Masarenowie, powieść, przez Ouidę, arkusz 6 T. II. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.



Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 1 Апрѣля 1898 г.